DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II. — Poznań, 20 czerwca 1889 r. — Nr. 18.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Pojedyńczy numer „Domu pol.“ kosztuje 40 f.

Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

Nad morzem.

Powieść z życia Duńczyków.

Przez

K. F. Schroetera.

Z niemieckiego języka tłomaczyła H e l e n a N e y m a n.

(Dokończenie.)

Począł wierzyć w swój talent, a w marzenia o przyszłości, która mu sławę była przynieść powinna, wplatał piękną postać ukochanego dziewczęcia, gdy nagle, jak grom z jasnego nieba, spadła na niego wiadomość o wyjeździe Aurory do Kopenhagi. Zraniony do głębi serca, zwątpiwszy o jej miłości, znalazł jednak dość siły, by zapanować nad sobą i zdołał milczeniem pokryć boleść.

W dzień odjazdu udał się do domu, w którym tyle chwil cichego przepędził szczęścia. Jak na dobrego przyjaciela przystało, pożegnał Aurorę na pozor obojętnie, lecz nagła bladość pokryła twarz młodzieńca, gdy uczuł, iż ręka Aurory, podana mu na pożegnanie, zimną była, jak lód.

Dziewczyna zachwycona, szczęśliwa, przejęta wdzięcznością do ciotek, które ją u siebie przez zimę zatrzymać sobie życzyły, nie dostrzegła pomieszania Fryderyka.

— Nie zapomnij pan przysełać mi „Wieczornej gazety“, wymówiła w ostatniej chwili, gdyż chcę pozostać stałą jej abonentką. Sądzę, iż rozpoczęta nowela O l s e n a długą i zajmującą będzie, a wiesz pan, że poeta ten jest mym ulubieńcem. Fryderyk dał roztargnioną odpowiedź.

Pozostali panowie po wyjeździe Aurory nie zaprzestali wspólnych przechadzek swoich. Listy bawiącego się dobrze w stolicy dziewczęcia dostarczały im zwykle tematu do rozmowy. Rzuciwszy się w wir zabaw, nie tęschniła za powrotem do rodzinnego miasteczka. Fryderyk często straszne sobie zadawał pytanie: dla czego ukochał tak silnie tę kobietę, która zapomniała go zupełnie, lecz im większej z jej strony doznawał obojętności, tem gorętsza miłość trawiła mu duszę. Były chwile, w których chciał wszystko porzucić, a udawszy się za nią do stolicy, żyć wrażeniami dnia.

Miłość własna stawała mu wpoprzek drogi. — Tyś nie jest stworzonym na lwa salonowego, mówiła mu, pozostań wierny dawnym ideałom swoim, pozostań im wiernym, poeto.

Rozpaczna to była walka, ta walka miłości do sztuki z miłością do kobiety — i ten dotąd odważnie czoło niebezpieczeństwom stawiający mężczyzna nie umiał dziś znaleźć drogi wyjścia.

Blady, zmęczony zwrócił uwagę na siebie Porthona, który, dostrzegłszy przygnębienie młodego przyjaciela, przypisał je nadmiernej pracy i zalecał spoczynek.

— Nie czułem się nigdy tak silnym i zdrowym, jak obecnie, odpowiadał wówczas Fryderyk, i ból, przeszywający mu duszę, daremnie pracą nad siły przygłuszać się starał.

Wielkanoc znów szybkim zbliżyła się krokiem. Aurora powróciła do ojcowskiego domu, lecz jakże strasznie zmieniona przez pobyt swój w wielkiem mieście! Z pewnym chłodem przyjmowała dawniejszych dobrych znajomych, a na opowiadane jej wiadomości zdawała się milczącemi przemawiać oczyma: i cóż mię to obchodzi, że panna C. poszła za pana Z., a inna idzie w jej ślady. Dobre wychowanie nakazywało jej jednakowoż złożyć znajomym narzeczonym życzenia.

Fryderyk nie był obecnie olśnionym widokiem dziewczęcia, do którego tęschnił tak gorąco; w rozmowie z nią przebijał chłód niewymowny, pomimo towarzyskiego obejścia. Stary Porthon stanął zdumiony widokiem tym:

— Ależ na Boga, dzieci.... zawołał, lecz pełne wyrzutu spojrzenie Aurory skłoniło go do milczenia.

* * *

Fryderyk udał się wcześnie do domu. Boleść niewysłowiona ścisnęła mu serce, jak gdyby jednocześnie resztę już utracił nadziei. A jednak dawna płomienna miłość z coraz potężniejszą odzywała się siłą i rozpierała mu pierś gorącem pragnieniem posiadania miłości tej dziewczyny, ukochanej tak silnie.

Uczynił nagłe postanowienie.

Przed rokiem właśnie w poranek wielkanocny miał zamiar wyjawić swą miłość Aurorze. O! gdyby ją zdołał teraz namówić do przechadzki: a wówczas przy dźwiękach śpiewnych, w obec świeżej, czarownej natury mówiłby jej o tęschnocie swojej, o ogromie miłości wiernej.... czyliż podobna, aby go odepchnęła od siebie?

O! nie, tak szybko nie mógł świat zniszczyć dobrych w jej duszy porywów — ona go nie odepchnie, ona go zrozumie!

Czyż wierzył w romantyczność sytuacyi, czy wspomnienie promiennej, pełnej nadziei przeszłości budziło w nim taką wiarę?....

Poranek oczekiwany zbliżył się nareszcie! Postacie mleczarek i zaspanych piekarzy nie zdołały zniweczyć pięknej poezyi dnia tego, jak przed rokiem wyrzekła Aurora.

Oparta lekko na ramieniu młodzieńca, patrzyła z zachwytem na budzącą się ze snu naturę. Na trawie rosa perliła się tysiącem brylantów, obwieszając jej suknię, a lekki powiew wietrzyka muskał zarumienioną twarzyczkę. Powoli różnobarwne świetlane promienie zaczęły roztaczać swe czary na wschodniej stronie nieba.

Słońce powoli ze snu powstawało, jakby niechętnie błękitne opuszczało łoże. Kilka silniejszych, gorętszych blasków zajaśniało na niebie i znów tysiące wystrzeliło świateł i błysków i nastał dzień. Szumiące morza fale zdawały się pieścić z odbijającemi się w nich słońca promieniami, łamały się, goniły i znów cofały wstecz; zresztą jakaś nadziemska cisza, niezamącona żadnym odgłosem, ni szmerem, zaległa samotne to miejsce.

Zatrzymali się tuż przy skałach. Oniemieli, uniesieni patrzyli pełni podziwu na morze bezm erne, na którem w tej chwili nawet jednego żagla dostrzedz nie zdołali. Cisza tylko, cisza samotna dokoła!

Fryderyka ogarnęło nagle jakieś trwożne upojenie, coś, jakby przeczucie zbliżającej się śmierci, która po burzach życia spokój przynieść mu zdoła. Zwrócił wzrok na towarzyszkę swoję — wzrok nieugiętej siły.

Oczy Aurory spotkały się z jego spojrzeniem. W jej szeroko rozwartych źrenicach widniał płomień, a zarazem uwydatniała się obawa..... obawa miłości.

Fryderyk ujął lekko jej dłoń i poprowadził do jedynego miejsca, na którem spocząć można było — do krzesła, przez naturę wyrzeźbionego w samym krańcu skały. U stóp ich szumiało morze.

— Auroro!

Drgnęła, obrzuciła go pełnem spojrzeniem, zdając się ulegać tym samym, co on, wrażeniom.

— Auroro! wśród długich godzin męczarni przyszedłem do przekonania, że żyć bez ciebie nie mogę. Nie jest to owo namiętne, przemijające szybko uczucie ludzi południa, ani też dziki, szalony płomień, co chwilami ogarnia ducha poety. Ja kocham ciebie miłością silną, niezmienną i wierzę, że uczucie to wlał mi do serca sam Bóg. I twoja krew płynie gorącej i ty kochać musisz bez miary, bez granic....

Spotkało go rozjaśnione, serdeczne spojrzenie i oko jego zapłonęło szczęścia błyskawicą, lecz usta szeptały dalej twarde, nieugięte słowa skargi:

— Tak, my się kochamy, Auroro, a jednakże połączeni nie bylibyśmy może szczęśliwi. Życie pełne trosk i zawodów zbudziłoby nas szybko z czarownego snu, i ty, słaba istota, zachwiałabyś się w tej walce pomimo ogromu wzajemnej miłości. Ten demon jest za silnym w tobie, aby raz na zawsze mógł być skrępowanym.

Wzniosłe porywy twej duszy uległyby wobec ponęt świata — a ja..... ja bym nie zniósł tego. Nie wytrwalibyśmy może na stanowisku tem wpośród pracy życia, bo dusz naszych nie można mierzyć zwykłą miarą człowieka.

Życie pełne męczarni i bólu wśród ciągłej walki o byt powszedni złamałoby nas. O! tak, czuję, iż nie zniósłbym takiego życia, więc nie wkładać bezmiernego na barki brzemienia... Lecz pozwól mi tę jednę godzinę czystej i bez troski zażyć rozkoszy — a potem..... u stóp naszych morze..... zstąpmy w te fale, Auroro, umrzyjmy z tą wiarą w duszy, że miłość święta na tamtym świecie w półbogów nas zamieni. Auroro, chodź ze mną!

I w uniesieniu szalonej jakiejś radości, do której przecież i ból dotkliwy się mieszał, wyciągnął do niej ramiona.... chciałby ją był do siebie przykuć, pić jej oddech, wchłonąć w siebie jej duszę całą.

Cudownem, pełnem uniesienia było jej wymowne spojrzenie. Na ustach drżał uśmiech rozkoszny, jakby świeżo zbudzoną została z zaczarowanego snu. Prawdziwe uczucie staczało w jej piersiach walkę z dumą kobiety. Chwilami porwana siłą wymowy tak bezmiernie kochającego ją człowieka — czuła prawdę w słowach Fryderyka zawartą, to znów dźwięczały jej one, jak głos szaleńca.

Czuła się jednakowoż dumną, że człowiek ten ją pokochał i nad nią władzę swego roztoczył ducha; on był większym, niż ludzie przeciętnej miary.

Fryderyk obserwował chwil kilka drgające w jej twarzy uczucia i nagle zawołał z pełną goryczy ironią:

— Nie, ty mię nie kochasz!... jakże żałuję, że pani czasu tyle zabrałem daremnie. Idź teraz i opowiadaj spragnionym nowin lwom salonowym, że Paweł Olsen równie słabym jest poetą, jak słabym znawcą serca ludzkiego. Aurora nagle podniosła głowę, powstrzymała oddech swój, a płomień gorący strzelił z jej ócz.

— Fryderyk... Olsen... ty... autor „Kwiatów gór“? Paweł Olsen i Fryderyk Johansen to jeden?

— Tak jest, to ja.

Chwil kilka nie zdołało dziewczę rozproszonych zebrać myśli, czuło jednak instynktownie niebezpieczeństwo chwili.

— I ty sądzisz, że cię nie kocham? że cię opuszczę, że cała walka była daremną?....

Skarga cicha dźwięczała w jej głosie, skarga pełna wyrzutu...

— Tak, nas złamałaby życia walka, człowiek silniejszym jest w nas, niźli Bóg.

— Nie! zawołała silnie.

I zanim Fryderyk zdołał wymówić nowe słowo zwątpienia, otoczyła rączkami szyję jego, a głowę na jego złożyła piersi.

— Czyż my musimy umierać? pytała z żalem — czyż szczęście dla nas stracone bezpowrotnie? Ja chętnie umrę wraz z tobą — chętnie — bez słowa skargi — ale ty... ty.... tobie umierać nie wolno — poeta Olsen żyć winien dla narodu swego.

Smutnie potrząsnął głową.

— Mój naród! — ten naród nic o mnie wiedzieć nie chce. Pójdź, Auroro, umrzyjmy.

Miłość zwalczyła już w niej wszystkie światowe porywy; patrzała na niego bez obawy, z mimowolną uległością i więcej radości, niż bólu było w słowach jej, gdy cicho szepnęła:

— Umrzyjmy!

Fale, szumiąc zalotnie, oblewały skałę, jakby zawczasu ciesząc się na swe ofiary. Morze, chcąc im po raz ostatni w całym ukazać się majestacie, przyjęło w swe fale załamane słońca promienie, co, przeglądając się w niezmierzonej wód przestrzeni, zdawały się bałwanom przywtarzać słowa: Tu do mnie pójdźcie, tu do mnie, ja wam dam ciszę — dam spokój!...

W oddali zaszeleściła mewa — zresztą cisza zupełna zaległa przestwor. Wówczas ogarnęło oboje nieprzeparte pragnienie dać się porwać tej szumiącej fali i obrócić w nicość — wiekuiste szczęście.

— Fryderyku, szepnęła Aurora, improwizuj, lecz dla nas dwojga tylko, dla nas jedynie. Powiodła mu białą dłonią po czole, jakoby tą pieszczotą każdą myśl smutną spędzić zeń pragnęła; uczuł jej słodki oddech na twarzy swojej, czuł bicie jej serca przy swojem sercu.... i cicho popłynął głos jego:

Nieogarnione, odwieczne morze,
Jakaż potęga w twym majestacie,
Gdy w falach słońce kąpie swe zorze,
Kiedy w świetlanej wystąpisz szacie.

Nieskończonemi szumy twej fali,
Tajemniczemi twoje potęgi,
Kiedy ukażesz oczom z oddali
Zieleniejące fali twej wstęgi.

Lecz umiesz z dziwną nieraz słodyczą
Koić balsamem, gdy duch zmęczony
Próżno z straszliwą serca goryczą
Ratunku woła na wszystkie strony.

Jakąż nicością tchną nasze duchy,
Gdy głos twój zabrzmi wśród wód głębiny...
Przeciwnych wichrów zwalczą podmuchy
Nas, i do zwątpień pędzą krainy.

Ty dziś mi mówisz, że śmierć jedynie
Straszną, gdy zmilknie w nas wielki Bóg,
W twej fali słowo odwieczne płynie,
Że on przebaczy ten wybór dróg.

A może gdzieś — tam — zdala od świata
I od zwodniczej nadziei złud
Cichego szczęścia wieniec się splata,
Lepszym się staje twój, Boże, lud.

Siły, o! siły, nam trzeba siły.
A nie w zwątpieniu opuścić dłoń,
Na dnie rozpacznej nie ledz mogiły,
Lecz z dumą hardą podnosić skroń!

Och! spojrzmy duchem — tam dookoła
Podniosłych celów promienie świecą,
A w sercach naszych głos wiary woła,
Że one święte ognie rozniecą.

Dalej do walki! wpośród tej drogi
Świętość sztandaru cel ci ukaże,
Jeśli duch w walce zsłabnie ubogi,
Męztwo ci święte dadzą ołtarze.

Naprzód więc, naprzód, naprzód bez trwogi!...
Wszakże na czole twem młodość lśni,
Pokonaj wszystko, choć wpośród drogi
Fałszywa nuta zwątpienia brzmi!....

Dzikie porywy zwątpienia i trwogi rozpłynęły się w cichem cierpieniu duszy jego, by następnie zbudzić się odwagą i wiarą w przyszłość.

Fryderyk nie był już w tej chwili ani pesymistą, ani rozpaczającym. Ukoiły go własne słowa, ukoiło go serce kochające i ta Boża potęga, nagle zbudzona w duszy jego; nie wierzył jeszcze, lecz już nie wątpił! Walczyły w nim dwa przeciwne prądy silnej burzy; nie wiedział, czy lepszym, lub gorszym się zbudził. Gdyby był tutaj samotnym, gdyby był zapomniał o obecności Aurory, improwizując — może burza uczuć byłaby go zwaliła i rzuciła w bezdenne fale.

Lecz miłość kobiety ocaliła go i uczyniła cud, wyrywając z objęć nęcącej go śmierci.

— Fryderyku, Fryderyku! dźwięczał głos tęschny, a jakaż ogromna głębia uczucia brzmiała w tych słowach; świat cały niewypowiedzianej tęschnoty i okrzyk bezmiernego szczęścia.

— Fryderyku, szeptała, pieszcząc go tkliwie. Białemi dłońmi objęła głowę jego i cicho na swej złożyła piersi. W wyrazie ócz jego przebijało jeszcze coś nakształt męczarni — był zimny, bezprzytomny, jakoby umarły.

Aurora zadrżała trwożnie; łzy wielkie, gorące spłynęły po jej twarzy i strasznie, rozpaczliwie zawołała:

— Fryderyku, Fryderyku!

Na ten krzyk serca ukochanej i kochającej kobiety uśmiech niebiańskiego szczęścia opromienił rysy młodzieńca, wyciągnął nagłym ruchem ku niej swe ramiona i do drżącej radością przytulił piersi. Był odkupionym przez miłość!...

A fale szumiały dalej smutne swoje pieśni. I wtórowały im dzwony blizkiego kościoła, łączyły głos swój dźwięczny z ich tęschnym szumem, lejąc zarazem w serca, walką obezsilone, nową moc i ukojenie w poranku Zmartwychwstania!...,.

W tym zlanym hymnie brzmiała cudowna melodya: tym, którzy sztandar miłości czystej wiernie przez całe poniosą życie, szczęście swych nigdy nie poskąpi promieni.

Aurorze i Fryderykowi szczęście pozostało wiernem.

KONIEC.

Pod wrażeniem....

Patrz! te obłudnie uśmiechnięte twarze,
Co jeszcze wczoraj, ujmując za serce,
Przyjaźń ci w oczy kłamały — dziś w gwarze
Ulicznym szarpią twe imie — oszczerce
Podli! — błotem za oczy bryzgają,
Co wczoraj czcili — dzisiaj potępiają.

Ten, kto nie idzie wytartemi drogi
Owiec gromadą, kto podnosi hardy
Wzrok ponad ziemię — już obraża bogi,
Przez ślepych czczone, i godzien pogardy
Tych, co tak nizcy i nędzni i mali
Dawno sumienie swoje zaprzedali.

I cóż, że ktoś tam stargany w boleści
Z jękiem zapyta: skąd cios wymierzony?...
Ich ucho słodko jęk bliźniego pieści,
Więc je na wszystkie wytężają strony,
By, nowe w dłoń swą zagarniając strzały,
Tem bohaterstwem dosłużyć się chwały.

Węże zdradliwe, jadowite żmije,
Ogrzane sercem!... pyszni, że zraniona
Przez nich ofiara w męczarni się wije....
Dobić jej pragną, zanim cicho skona.
I cóż, że u jej zasiadali stołu
I chleb gościnny łamali pospołu?!...

Gady bezduszne! przyćmionego wzroku
Niezwykłe nigdy wznieść w górę — do Boga.
Tak im wygodna fałszu kręta droga!
Miło im pełzać po ziemi o zmroku;
Gdy brzask jutrzenki ujrzą — pełni strachu:
— To pożar! krzyczą, już gore na dachu! —

Ich widnokręgi ciasno odmierzone,
Obce im piękna, prawdy jasne szlaki!
Za łupem gonią, jak drapieżne ptaki;
Jak marna trzcina, chylą się w tę stronę,
Skąd wiatr powieje.... o! jacy wy wszyscy
Podli jesteście, jacy mali, nizcy:

Nie tryumfujcie — bo i na was trwogi
Spadną pioruny!... Jest Sędzia na niebie,
Za miłość bliźnich obrońca w potrzebie,
Za krzywdy, ucisk wyrok pisze srogi.
I wam gorzkiemi przyjdzie płakać łzami,
I nie zapłacze nikt naonczas z wami.

Helena N.

12. VI. 89.

W Indyach.

Angielski „Times" podaje świeżo nadesłaną sobie wiadomość z Kalkuty o zabiciu tamże przez młodego oficera tygrysicy, która przez lat dziesięć szerzyła postrach pomiędzy ludnością okolicy Chakrata, pożerając niezliczone ofiary w ludziach. Pewnego razu napadła na zbudowaną w lesie chatę robotników; rozwaliwszy ją, wywlokła jednego z tychże robotników, aby go następnie porzucić w gnieździe swym na igraszkę potomstwa, podczas gdy sama, położywszy się w pewnem oddaleniu, czuwała, aby nic nie przeszkadzało zabawie młodych tygrysiąt. Koledzy nieszczęśliwego, schroniwszy się pospiesznie na drzewo, byli świadkami straszliwej sceny. Młode tygrysy poczęły szarpać ciało leżącego prawdopodobnie w omdleniu robotnika, podczas gdy matka pełnem zadowolenia pomrukiwaniem zdawała się chcieć dziatwie swej dodawać odwagi. Nagle zrywa się człowiek, oswobadza z uścisku słabych jeszcze zwierząt, i ucieka w stronę grupy drzew. Lecz zaledwie ubiegł kroków dwadzieścia, rzuca się tygrysica ku niemu, powala i zanosi napowrót do legowiska. Wszelkie usiłowenia, aby się na nowo uwolnić ze szpon tygrysiąt, udaremnionemi zostały wytężoną czynnością tkliwej ich matki. Jęki nieszczęśliwej ofiary i pełne rozpaczy wzywania o pomoc rozdzierały serca zbiegłych na drzewo towarzyszy, którzy, sparaliżowani przestrachem i bezbronni, nie mogli pospieszyć z pomocą. Tygrysica wzięła ostatecznie również udział w zabawie potomstwa swego, a usiłowania opadłego z sił człowieka, aby się uwolnić, były coraz słabsze i bezskuteczne.

Ostatni raz widziano go, jak, dźwigając na sobie poprzyczepiane do swych członków straszliwe zwierzęta, czołgał się za pomocą rąk i nóg do palmy stojącej w pewnem oddaleniu. Lecz i to ostatnie rozpaczliwe wysilenie nie odniosło skutku; tygrysica odniosła go napowrót z pod drzewa, a przycisnąwszy przedniemi łapami, zupełnie obezwładniła. Były to ostatnie chwile ofiary.

To straszliwe zwierzę zostało zaczepione przez dwóch odważnych młodzieńców: angielskiego oficera i studenta, który, będąc znakomitym strzelcem, pogonił również za śladem tygrysicy. Pieszo, z bronią gotową do strzału postępowali młodzieńcy, oddaleni od siebie na piętnaście kroków, gdy nagle oficer usłyszał bolesny jęk towarzysza; obraca się i ze zgrozą spostrzega go powalonego przez rozżartego zwierza.

Celny strzał oficera ranił tygrysicę w grzbiet, drugi, otrzymany w czasie skoku na strzelca, powalił ją na ziemię.

Studenta omdlałego i pokaleczonego straszliwie umieszczono w szpitalu, jest jednakowoż nadzieja utrzymania przy życiu pełnego odwagi młodzieńca.

W ostatnim czasie pomimo znacznych sum, wypłacanych przez rząd angielski za zabijanie drapieżnych zwierząt, ilość tychże się wzmaga, a tem samem mnożą się ofiary w ludziach, nie licząc w to ogromnych szkód, czynionych w bydle. Piękna, czarodziejska kraina Nadgangesowa zdaje się być zupełnie ujarzmioną potęgami natury. Puszcze i lasy, rojące się zwierzem, niebezpiecznemi są nawet w dzień dla wędrowca, a roznoszący listy prędzej, lub później kończą zwykle życie pod szponami zwierza, lub od ukąszenia wężów, które największą ilość ofiar zabierają.

Ogromne pomnażanie się tygrysów przypisać należy przesądowi Indyan, którzy, wierząc w metampsychozę, sądzą, iż dusze zmarłych przodków przechodzą w tygrysy. Gdy Hindusowi zpośród zarośli zabłyśnie krwawe oko tygrysa, drżąc, pada na kolana i woła: — Ojcze, przebacz mi, że ośmieliłem się żyć! — To też z wielkim trudem nakłonić można zabobonny ten lud do tępienia okrutnego zwierza, któremu na łaskę i niełaskę oddaje się dobrowolnie. Biedna, wzgardzona kasta Paryasów, zmuszona do przybywania w lasach, dostarcza podług statystyki ogromnej liczby ofiar. Ludzie ci nadzy i wątli, którym nie wolno pić nawet wody z jednego zdroju z więcej uprzywilejowanemi kastami, których, spotkanych na drodze, Braminom bezkarnie zabijać wolno było, klecą sobie po lasach nędzne chaty z chrustu, lub sypiają na drzewach. Krwiożerczy tygrys rozwala niejednokrotnie nocą słabe te zagrody i unosi ludzi, którym przestraszeni towarzysze rzadko spieszą z pomocą. Zresztą lud ten, skazany na pełne nędzy i wzgardy istnienie, nie posiada nawet wyobrażenia o cenie życia.

Energiczne usiłowania Anglii, również i wykształconych Hindusów, zmierzające do zrównania kast, małe wydają owoce. Tysiącletnie uprzedzenia i przesądy nie tak łatwo zwalczyć można pracą kilku pokoleń. Ostatni znany fakt dobrowolnego spalenia się żony na stosie wraz ze zmarłym mężem zaszedł dopiero przed trzema laty pomimo czujności rządu i surowych kar, wymierzonych uczestnikom podobnych barbarzyńskich uroczystości. Za jednę z przyczyn okrutnego tego zwyczaju podają to, iż wdowie nie wolno po raz drugi wstępować w związki małżeńskie, w skutek czego narażoną jest zwykle na nędzę. Ostatniemi czasy wykształcone Indyanki robiły starania o usunięcie tego zwyczaju. Jest rzeczą niewątpliwą, że kobiety pięknej, lecz nieszczęśliwej tej krainy wielką w niedalekiej przyszłości będą miały zasługę około oświaty i umoralnienia współziomków. Angielski uniwersytet dla kobiet liczy pomiędzy studentkami na wydziale medycznym wiele Indyanek, które po złożeniu examinów, wracając do ojczyzny, oddają się leczeniu kobiet i dzieci swej ziemi, ponieważ przesąd konserwatywnych klas zabrania wejścia mężczyznie do mieszkania obcej kobiety. Pomiędzy indyjskiemi kobietami pojawiały się w ostatnim czasie prelegentki, które publicznie rodaczki swe nawoływały do rozwijania wykształcenia, ganiąc równocześnie błędną emancypacyą, zasadzającą się na zmianie narodowego ubioru na europejski, niewłaściwy w tej skwarnej ziemi. Straszliwe susze, nawiedzające złotodajny ten kraj, były niejednokrotnie przyczyną wielkich klęsk głodowych. Świeżo stawa w pamięci okropna klęska z roku 1877, gdzie, pomimo energicznej pomocy rządowej i prywatnych ofiar, z przyczyny trudnej komunikacyi, tysiące ludzi szalonych z rozpaczy, błąkających się po drogach gromadami, jak cienie, straszliwą umierało śmiercią. Ciała, walające się po drodze, najlepszym były drogoskazem wozom, wysełanym z żywnością. Im dalej się posuwano od miast, tem większą znajdowano ilość zmarłych, dopóki ostatecznie nie docierano do pustkowi i lasów, gdzie całe gromady nieszczęśliwych częstokroć nie posiadały już siły, by przyjąć podawany im pokarm i konały z kawałkiem chleba u ust.

Przyczyną nieszczęść tych jest nie tyle ogromna ilość mieszkańców, jak raczej nieudolność połączona z niechęcią do pracy, będąca jednakowoż wynikiem klimatu, ponieważ nawet sprężysty Anglik, przybywając z mglistej swej ojczyzny do Indyi, ulega wpływom tej ziemi i rozmarzony traci ochotę do pracy.

Pełna czarów ziemia ta znaną była z fantastycznych opowiadań w najodleglejszej starożytności innym narodom, lecz żadne nie miały odwagi przekroczyć jej granic.

Do Europy dobiegały mgliste wieści o krainie na wschodzie, lśniącej od pereł i złota, o świętej rzece, przepływającej ziemię tę, o śmierci ludzi, budzących się napowrót do życia, o dobrowolnych ofiarach na cześć bóstw niewidzialnych i bogactwie pojedyńczych władców tej ziemi, mogących złotem swym połowę zasypać Europy. Ostatecznie znalazł się śmiałek, co, pokonawszy starodawną Persyą, niezwyciężone hufce na zdobycie tajemniczej poprowadził krainy. Lecz w ostatniej chwili lęk zabobonny ogarnął żołnierzy Alexandrowych i młodzieńczy król, zmuszony uledz wojsku, na które jakby padł urok, cofnął się z przed granic, aby umrzeć z nienasyconem w duszy pragnieniem. Dzisiaj ogromna ziemia ta pod panowaniem Anglii, a raczej kupieckiego stowarzyszenia wschodnio-indyjskiego, przyjmować poczyna owoce cywilizacyi zachodniej, płacąc za to swobodą lat tysięcy, wielką ilością złota i drogich kamieni i wspomnieniem daremnego krwawego powstania indyjskich żołnierzy przed laty kilkudziesięciu przeciwko dumnym zwycięzcom.

Z PARYŻA.

Przez wzgląd na rozliczne, przez wszystkie miejscowe polityczne i zamiejscowe literackie pisma podawane wiadomości o wystawie paryzkiej — nie wspominaliśmy wcale o niej, nie chcąc w ciasnych ramach „Domu polskiego“ streszczać rzeczy, powszechnie już znanych w szczegółach, a powtarzających się wszędzie z małemi odmianami. Wyjątkowo więc tylko zamieszczamy tu ustępy z prywatnego listu z Paryża, odmiennej nieco treści, bo więcej o samej stolicy, jej osobliwościach i pamiątkach, niż o wystawie szczegółów podające. (P. R.)

. . . . „Chcąc być szczerą i nie iść za ogólnym u nas zwyczajem, że wszystko, co paryzkie, musi być piękne i doskonałe, a sam Paryż na czele, wyznaję, że od stolicy Francyi spodziewałam się więcej. Jedynie ogrom t. j. mnogość ulic i uliczek i ich długość robią od razu wrażenie, ale ulic tak pięknych i szerokich, jak np. *Ring* w Wiedniu, nie ma tu wcale; sławne bulwary nie są nawet tak obszerne, jak dwa razy nasze poznańskie aleje, a domy, choć pięcio-i sześciopiętrowe, mało co wyższe od naszych czteropiętrowych kamienic; pokoje bywają tu stosunkowo nizkie. Od *Louvru*, choć trochę mniejszy, ale piękniejszy jest *Zwinger* w Dreźnie, a kościół *Nôtre Dame*, choć ogromny i bardzo piękny, nie tak imponuje, jak kościół św. Szczepana w Wiedniu. Może właśnie dla tego, że wiele już widziałam przed Paryżem i miałam pretensyą, aby to, co zobaczę teraz, było piękniejszem od wszystkiego, co oglądałam dotąd, doznałam niejakiego rozczarowania. Z drugiej strony nie zaprzeczam wcale, że Paryż robi wrażenie s t o l i c y ś w i a t a. W innych stolicach, choć ulice szersze, piękniejsze, gmachy wspanialsze, ale też wszystko to nowsze i świeższe; tu przeciwnie zdaje ci się, że wszędzie przemawiają do ciebie wieki, widzisz wyraźnie tę długą przeszłość za sobą. Najwięcej imponującem jest *Place de la Concorde* ze sławnym egipskim obeliskiem, postawionym w miejscu, gdzie stała przed stu laty giliotyna, gdzie spadła głowa Ludwika XVI, Maryi Antoniny i tylu innych ofiar rewolucyi. Obszar to ogromny; naprzeciwko masz piękny kościół *la Madeleine*, z jednej strony ogród tuileryjski, z drugiej w oddali pola elizejskie. Pamiątek historycznych naturalnie pełno — w muzeach, kościołach, gmachach publicznych i różnych pomnikach, rozrzuconych po mieście. Zwiedziłam dotąd *Louvre*, t. j. jego galeryą obrazów, ogromną i obfitą we wszystkie stare szkoły, choć pewnie mniej rozmaitą od drezdeńskiej. Zbiory rzeźb w Luwrze należą zapewne do najpierwszych w świecie, a urządzenie doskonałe — bez katalogu oryentować się i przedmiot poznać można; sławna Wenus z Milo, choć bez rąk, gromadzi naokoło siebie nawet i profanów. Byłam także w galeryi pałacu Luxembourg, gdzie wystawiono obrazy nowe francuzkiej szkoły — bardzo piękne, a działające na zmysły. Kościołów zwiedziłam już kilka; w *Musée Cluny* wśród tysiącznych zbiorów i pamiątek francuzkich pokazują także płaszcz Henryka III z naszym orłem i pogonią obok lilii francuzkich. *Panteon*, gdyby nie piękne freski, przedstawiające sceny z życia św. Genowefy, lub różne obrzędy religijne dawnej historyi Francyi, gdyby nie Chrystus w jednym obrazie, robiłby wrażenie świątyni pogańskiej, a katakomby tak ciemne w niektórych miejscach, że — wszystko razem wziąwszy — nie ma się ochoty zazdrościć tym kilku wielkim ludziom, którzy tam spoczywają. Największe wrażenie sprawił na mnie Wersal, gdzie byłam w niedzielę, jako *jour des eaux*, jak tu mówią, czyli, że dnia tego biją tam wszystkie fontanny i wodotryski. Pałac kolosalny i piękny z salami, pokojami i pamiątkami głównie po Ludwiku XIV; ileż tam bogactwa w tem wszystkiem!... salony kapią od złota, marmurów, sztukateryi. Pokazują też pokoiki Maryi Antoniny tak maleńkie i nizkie, że dziwić się trzeba, jak owa elegantka mogła w nich mieszkać. Kaplica bardzo jest piękna i bogata, w salonach obrazy wszystkich prawie królów francuzkich i różne epizody z historyi pędzla głównie Vernera, tak, że obchodząc wokoło, zdawać się może, iż się czyta księgę najbardziej zajmującą. Nad ogród wersalski piękniejszego nie widziałam, oko gubi się w cudownych panoramach i perspektywach, trawnikach, basenach i szpalerach bez końca, wszystko w stylu francuzkim, t. j. w prostych liniach. Kiedy o godzinie 5-ej po południu puścili owe „wody“ i przeszło 50 wodotrysków i fontan od razu bić zaczęło, widok był tak czarujący, że chyba w bajce o czemś podobnem czytać można. Z ogrodem wersalskim łączy się „*grand Trianon*“ i „*petit Trianon*“ t. j. pałace i ogrody. Pierwszy zbudowany pierwotnie przez Ludwika XIV dla pani de Maintenon, zawiera najwięcej pamiątek po Napoleonie I, który tam lubił przebywać, różne jego pokoje: sypialny z łóżkiem i marmurowem popiersiem drugiej żony, Maryi Ludwiki, na kominku; drugi pokój sypialny, zastawiony meblami cesarzowej Jozefiny z Malmaison, a przysposobiony przez Napoleona III dla królowej Wiktoryi angielskiej, gdy tu przyjechała na wystawę. Ogród w *grand Trianon* także bardzo piękny w stylu francuzkim. *Petit Trianon*, zbudowany za Ludwika XV dla pani du Barry, zamieszkiwała później Marya Antonina; pokazują tam jej pokoje, jej meble i inne po niej pamiątki. W sypialnym pokoju zajął nas obraz małego delfina, Ludwika XVII, którego tu *martyr du Temple* nazywają. Ogród w *petit Trianon* uroczy, w stylu angielskim i bardzo cienisty, w głębi znajduje się *le fameux hameau* Maryi Antoniny, gdzie ta lekka i światowa, choć dobrego serca kobieta lubiła się bawić w pasterkę i wiejską gosposię. Porozrzucane są tu domki, a raczej chaty wiejskie, mieszkalne ze słomianemi dachami, obórki, kurniki, mleczarnia i t. p., wewnątrz urządzone wspaniale choć w maleńkich rozmiarach, zewnątrz zaś utrzymane wybornie, zapewne restaurowane za uszkodzeniem najmniejszem.

Całym Wersalem byłam oczarowaną. Zwiedziłam także dwa cmentarze: największy *Père-la-Chaise*, gdzie z naszych znakomitości spoczywają Chopin i z Tańskich Hofmanowa; także *Montmorency*, gdzie spoczywa Mickiewicz. Pierwszy leży w samym Paryżu, ogromny i nie robi wcale wrażenia cmentarza, ale raczej jakiegoś kamiennego miasta umarłych. Nie widzisz tam krzyża, jak na naszych polskich cmentarzach, tylko na naczelnem miejscu bije w oczy

złamana kolumna; na grobach pełno podobnych, lecz mniejszych, same kapliczki, obeliski i godła przeróżne. Groby komunistów i socyalistów zarzucone są czerwonemi wieńcami; na niektórych rzeźby cudowne, ale w niczem nieprzypominające religii, jak np. na grobie sławnego Blanqui; bywają tam nawet napisy bluźniercze, pomiędzy: *liberté, égalité, fraternité* — widnieje także: *Ni Dieu, ni maître!* Protestanci i samobójcy chowani bywają razem z prawowiernymi, podobno dla tego, że cmentarz cały nie jest, jak u nas, wcale poświęcony, poświęcają dopiero później każdy grób z osobna — naturalnie gdy sobie rodzina życzy ceremonii kościelnej, jest bowiem wielu, którzy się bez niej całkiem obywają. Jakkolwiek więc Francuzi robią wrażenie *d'une nation impie* — podobno jednak tak źle nie jest. Rozmawiałam w tym przedmiocie długo z ks. Witkowskim, O. Zmartwychwstańcem przy tutajszym kościele *de l'Assomption*; zacny ten kapłan i patryota urządza tu nabożeństwa dla Polaków, miewa dla nich kazania w ojczystym języku i opiekuje się polskiemi stowarzyszeniami. Dla narodu francuzkiego jest z wszelkiem uznaniem, podnosi różne jego cnoty, mianowicie pobożność, ofiarność i miłosierdzie.

Wracając do cmentarza *Père-la-Chaise,* nie podobna mi pominąć wrażenia, jakiego doznałam na grobie Chopina. Pierwszy to bowiem grób polski, który widziałam na obcej ziemi — byłam tak wzruszoną, że długą chwilę słowa wyrzec nie mogłam. Taki osamotniony i sierocy, a taki niepodobny do drugich wydał mi się ten grób cichy, że tem gorętsze westchnienie i modlitwę wysyłałam do nieba za biednym naszym mistrzem tonów. Napis na grobowcu jest w polskim i francuzkim języku. Grób Tańskiej w innej znajduje się części cmentarza, naprzeciw grobów Moliera i Lafontaina; pomimo, że naprawiany był przed kilku laty, na co składki w kraju zbierano i czem osobiście zająć się przyrzekł św. p. J. I. Kraszewski, grób ten znów grozi ruiną, rozsypać się może za lat kilka, tak niedbale i niestarannie został naprawiony. Główna, waląca się znowu podstawa nie była — widać — restaurowana wcale, tylko, aby zakryć uszkodzenia, otoczono ją wokoło szklanemi płytami, które odpadają już dzisiaj i o nowe proszą zmiłowanie. Do *Montmorency* jechać trzeba koleją, a jest tak daleko, jak z Poznania do Kościana. Mickiewicz leży obok Kniaziewicza i Niemcewicza w jednym grobowcu z żoną i kilku jeszcze członkami swej rodziny. Twarz poety, a raczej maska jego pośmiertna, znakomicie wykonana, pozwala go sobie wystawić zupełnie takim, jak zapewne wyglądał po śmierci. W blizkości tych grobów polskich znajduje się t. zw. *Avenue des Polonais*, gdzie leży wielu naszych rodaków i wygnańców, jak: Andrzej Zamojski, Klaudya Potocka, Bronisław Zaleski, Kazimirz Błociszewski i wielu innych. Wybieram się jeszcze na *Montmartre* odwiedzić grób Słowackiego i przypatrzeć się pięknemu podobno widokowi z poblizkiego kościoła *Sacré Coeur*. W *St. Denis* zwiedziłam groby królów francuzkich, t. j. właściwie tylko ich sarkofagi, gdyż ciała w czasie wielkiej rewolucyi sprofanowane i wyrzucone zostały. Są tu tylko domniemane zwłoki Ludwika XVI i Maryi Antoniny, oraz następnych Burbonów i Orleanów."

Ibrang - Hoihsthohl.

(Z kartek szukającego ideałów.)

(Ciąg dalszy).

III.

Szczęśliwym sposobem wszystko z czasem „w łeb bierze" na naszym globie. A tak więc w końcu nawet i rozpacz nieszczęśliwego wujaszka utraciła głowę — dzięki systematycznej a długiej kuracyi hermetycznego zamykania się w szafeczce i odcięcia od świata. Wyginęły wreszcie wszystkie wymoczki i bakterye — przestały one gryźć i szarpać wnętrzności — a wujaszek na nowo wolnemi odetchnął piersiami. Wyciągnął członki — spojrzał weselej przez okna otwarte, a następnie... ziewnął. W pierwszej chwili o mało nawet nie począł żałować utraconej boleści — bo i boleść pozostawia po sobie próżnię i tęschnotę.

W roku 1882 wuj Edward (o tyle, o ile zgadzało się to z wyjątkową czaszki jego konstrukcyą) był znowu „normalnym" człowiekiem. Nie pił już atramentu — a jeżeli potrzebował koniecznie zapałki użyć za wykłuwaczkę, to nasamprzód starannie obkrawał z niej fosfor i siarkę. Rano, ubierając się, wprzód naciągał na się buty, a następnie dopiero tużurek i palto — ile razy zaś termometr wykazywał dwadzieścia pięć stopni Réaumura po nad zero, tyle razy wujaszek przyznawał w towarzystwie bez wszelkiej sprzeczki, że „d z i ś n i e z n o ś n i e g o r ą c o, a w c z o r a j b y ł o n i e c o z n o ś n i e j" i t. d. i t. d. Słowem wujaszek — raz to jeszcze powtarzamy — stał się zupełnie „normalnym." Mówiono o nim nawet ogólnie, że jest „przyzwoitym, wykształconym, przyjemnym, a nawet i zabawnym w towarzystwie" — czyli, po prostu mówiąc, dawano mu wszędzie patent na najskończeńszego kretyna i idyotę.

I byłbyś przysiągł, łaskawy czytelniku, że wuj Edward, spotkawszy gdzieś w jakiemś strasznem, skalistem pustkowiu Helwecyi najtypowszego szwajcarskiego kretyna, popełnił straszne morderstwo — że z drgających członków upośledzonej na umyśle istoty ściągnął skórę bezlitośnie — i onęże krwawą skórę wciągnął na się, jak rękawiczkę. A skóra ta tak nad wyraz gładko przylegała na wujaszku, że najwprawniejsze oko nie byłoby rozpoznało zapożyczenia się, podstępu i sztuki.

A przecież mimo całego owego „najnormalniejszego kretynizmu" — na dnie duszy wuja Edwarda spoczywał już od owej fatalnej księżycowej nocy z 19 na 20 października 1878 r. zaród niewytępiony strasznego szaleństwa. Bo wystawcie sobie oto, że wuj Edward — który od pierwszej chwili samoistnego myślenia aż do pamiętnego epizodu na wieżycy Danielowego grobowca jedynie tylko w spokojnej kontemplacyi i zimnej refleksyi szukał pociechy i wewnętrznego zadowolenia — odtąd już bezustannie, bezwiednie, lub chwilami i ze samowiedzą pożerany był pragnieniem gorączkowem rzeczy niemożliwej, niepochwytnej, urojonej, najniedościglejszej w świecie. Szukał on teraz szczęścia tam, gdzie go zasadniczo znaleźć żadną miarą nie można — szukał słońca o północy — ciepła w podbiegunowych lodowcach. Wujaszek poprostu „sfiksował" w tymże samym punkcie, w którym zachromał na umyśle poczciwy Bernardin de St. Pierre, pisząc swą „c h a t ę i n d y j s k ą." O t o s z u k a ł o n t e r a z s z c z ę ś c i a w .... m i ł o ś c i k o b i e t y! ....

IV.

Darujcież — jeżeli możecie — wujowi memu to niesłychane szaleństwo; tego rodzaju umysłowe choroby w zupełności nie zależą od woli tych, co na nie zapadli. I wujaszek Edward byłby z pewnością chętnie poddał się najniebezpieczniejszej operacyi, gdyby na drodze takiej mózgowej „ekstrakcyi" była się przedstawiała jakaśkolwiek najmniejsza nadzieja wyzdrowienia. Dotąd jednakże chirurgia ani nawet nie przeczuwa podobnych możliwości — a wujaszkowi nie przyświeca i najsłabsze światełko ratunku. Jeżeli go umysłowa choroba nie zje przed czasem — to czas dogryzie, czego nie zdoła strawić choroba. Oto cała możliwa szansa. Darujcież mu więc, choćby w imię takiej „szansy."

Teraz zaś cofnijmy się do nocy 15 lutego 1882 roku.

Wujaszek, dzięki względnej „normalności" i pozbyciu się wewnętrznych monstrów, jako człowiek kompletnie

przyzwoity i „do życia“, bierze czynny udział w zabawach karnawałowych — ot! przypuśćmy n. p. miasta Warszawy. Czynny ten udział polega, jak wiadomo, na ślizganiu podeszew po woskowej podłodze — na powtarzaniu znanych różnych definicyi (n. p. „o wybornie udanej zabawie“, „harmonii barw damskich toalet“, „dusznem powietrzu w sali, a duszniejszem jeszcze na chórku“ i „niegodziwej nad wyraz kolacyi“) — na spaniu za dnia — a wreszcie i na stawianiu sobie bezustannem pytania: „Czy ja się bardzo bawię — czy też bardzo się nudzę?“

Wujaszek, przybywszy w nocy 15 lutego 1882 r. o godzinie jedenastej na bal kostyumowy i maskowy, pełni zatem wszelkie powyższe funkcye

Ślizga on podeszwami po wosku — powtarza po raz setny oklepane definicye — i stawia sobie po raz setny i pierwszy pytanie: „Czy ja się bardzo bawię — czy też może nudzę się silnie?“

Wuj Edward przybrany jest w kostyum francuzkiego markiza z czasów piętnastego Ludwika. Maska kryje szczelnie jego fizyonomią, ale po ruchach poznają go wszyscy święci. Bal maskowy udaje się świetnie — nikt nikogo nawzajem nie intryguje wprawdzie bynajmniej, bo każdy natychmiast dobrze przeczuł bliźniego — ale mimo to nie brak intrygi, polegającej na intrygowaniu samego siebie, cieszeniu się iluzyą własnego „incognito.“

Wujaszek wielkiemi krokami, niezbyt odpowiedniemi do kostyumu, przechadza się po sali. Ileż tu pań — ile włosów prawdziwych i sztucznych — ileż gorsów naturalnych i podrobionych — serduszek szklanych, drewnianych i tekturowych — maseczek i twarzyczek — uśmiechów i spojrzeń we wszelkich kierunkach kątomierza!

Ale mniejsza o to, czego tak dużo, tak obfito. W mózgu wujaszka czyha na dnie ciągle tylko jedna jedyna myśl uparta: „Czy jest tu choć jedna jedyna kobieta, jedna jedyna d u s z a — coby się do mnie mogła przyzwyczaić, coby się zlitować zechciała nad moją nędzą, coby wreszcie nawet i pokochać mnie zdołała?“

Przebóg! Ty bluźnisz, wujaszku-niecnoto! Wątpisz — a wszakżeż szczęście już i tuż przy tobie! Patrz oto i upadnij czołem! Dwa fraki, wraz ze zwykłemi białemi halsztukami na zwykłe balowe figury nałożone, wprowadzają dwie jakieś niewieście postacie, przybrane w kostyumy asyryjskie — jedyne ciekawe i gustowne w całej sali. Kostyumy te, w dwóch przeważnie wykonane barwach, t. j. białej i ciemno-wiśniowej, nader dosadniemi plamami kolorystycznemi odbijają na banalnem, czarnopstrokatem tle reszty skaczących, lub odpoczywających przebrań i ubiorów.

Wujaszek na widok pierwszej z dwóch prawnuczek Sardanapala traci od razu oddech, ruch i przytomność — zmieniając się na chwilę w prawdziwie asyryjskie wykopalisko kamienne. Widocznie karystya tu jakaś na starowschodnie postacie i bożyszcza — bo wszakżeż oto w tejże samej chwili Apis, zmartwychwstały egipski Apis trąca wujaszka pod ramię.

Apis to jednak rozumiejący ducha epoki, bo „p i n c e - n e z“ złote osadził na nosie, a grzywka jak najregularniej żelazkiem zapieczo a. Apis, jak wszyscy, poznał wujaszka po ruchach.

„Edwardzie! co ty tu robisz — stoisz, jak malowany! Ruszże się przecie! . . . . . No, powiedz co . . . . dla czegoż nic nie mówisz?“
Ale wuj Edward pozostaje ciągle bezwładnym — daremne zapytania i trącania pod ramię.

Poczciwy Apis wzdryga ramionami i mrucząc, cofa się w głąb' sali. Teraz wujaszek otrząsnął się wreszcie z pierwszego wrażenia — teraz olbrzymiemi kroki dąży ku miejscu, gdzie zasiadły biało-wiśniowe kostyumy. Edward wytrzeszcza oczy tak, że o mało przez otwory w masce nie wypadną na podłogę. Ta figurka czarowna — ta kibić wysmukła — szyja łabędzia — te maleńkie rączęta — ani wątpić . . . . . bo jakżeżby się tu omylić . . . . . to ona . . . jedynie ona . . . nikt inny, jak ona . . . to postać z wieżycy Danielowego grobowca! . . .

* * *

Tym razem przecież postać nosi na szyi główkę prawdziwą, niewieścią, przecudną. Fala jasnych kędziorków otacza tę główkę — a lubo maska kryje twarz całą prawie — to jednak z kilku widocznych linii nietrudno domyślić się tu skończonej piękności. Dwa zielonawo-szafirowe oczęta świdrują wuja Edwarda wzrokiem niespokojnym, ciekawym, rzucając wokół blaski — przy których bladym łysk Kohinura, lub brylantu rejenta.

Wujaszek bezsilnie pada na krzesło tuż obok prawnuczki Sardanapala i mówi drżącemi usty:

„Pani — kocham cię nad wyraz, nad siły, nad pojęcie i życie. Cierpiałem dla ciebie męki nieopisane przez trzy lata przeszło. Czem jesteś — ach! powiedzże, czem jesteś — kobietą, czy lalką? . . .

(Ciąg dalszy nastąpi)

Wiadomości literackie.

„Żywot Stanisława Staszica“. Opowiedział pokrótce B o l e s ł a w L i m a n o w s k i. Lwów 1889.

„Generał Jan Henryk Dąbrowski, dowódzca legionów polskich“. Lwów 1889.

We Lwowie zawiązało się r. b. „Towarzystwo imienia Stanisława Staszica“, którego celem jest szerzyć zamiłowanie do czytania i ułatwiać nabywanie na własność tanich, pożytecznych książeczek, lub dzieł w polskim języku Istnieje już w Galicyi „Macierz polska“ i „Komitet wydawnictwa dziełek ludowych“, ale te instytucye pracują przeważnie dla oświaty lu u wiejskiego. Lwowskie „Towarzystwo Staszica“ pragnie wydawać książki dla mieszczan i wiejskiej inteligencyi, któreby pouczały społeczeństwo o naszej przeszłości i teraźniejszem położeniu. Przede wszystkiem mają być uwzględnione dzieje Polski porozbiorowe. Co miesiąc ma wychodzić jedna książeczka, którą członkowie odbierają bezpłatnie.

„Żywot Staszica“ jest zwięźle, lecz nieco za pobieżnie przedstawiony, zawiera wiele stron dodatnich, ale i ujemnych. To samo można powiedzieć o życiorysie Dąbrowskiego. Naszem zdaniem, kto chce pisać o Staszycu, powinien koniecznie poznać jego dzieła, a tego nie możemy powiedzieć o autorze życiorysu Staszyca. Czego mianowicie nie dostaje naszemu narodowi? Oto zamiłowania pracy i oszczędności. Staszyc jest niejako uosobieniem pracy i oszczędności, wzywał też często rodaków w pismach i przemówieniach, aby byli pracowitymi i oszczędnymi. O tem nie ma w książeczce o Staszycu prawie żadnej wzmianki.

Dla dobra wydawnictwa pozwolimy tu sobie sprostować niektóre pomyłki i zaznaczyć ważniejsze usterki. I tak niezgodne z prawdą historyczną jest twierdzenie (24 str.) że Napoleon przy pomocy legionów polskich podbił państwo pruskie. Legiony w r. 1806 już nie istniały, gdyż 1801 r. zostały rozwiązane.

W książeczce o Dąbrowskim jest zbyt obszerny wstęp o rewolucyi francuzkiej, gdyż mieści się na przeszło 4 stronach, a o ważnej wyprawie Dąbrowskiego do Wielkopolski nie ma ani strony. Bitwy pod Łabiszynem i Bydgoszczą zasługują na obszerny opis. Nic nie mówi autor o znaczeniu legionów i o ich pożyciu wojskowem. Mylnem jest twierdzenie, jakoby rząd francuzki udzielił chętnie zezwolenia za formowanie legionów, przeciwnie, wiele trzeba było łożyć czasu i starań, aby doprowadzić do skut-

ku myśl ich utworzenia. Znaczna część tej zasługi spada na generała Kosińskiego. Należało też koniecznie wspomnieć, że Dąbrowski sprzedał wieś rodzinną Pierzchowice, aby mieć fundusz na pierwsze potrzeby tworzących się oddziałów. Autor twierdzi, że Dąbrowski nie przyjął ją służby w wojsku polskiem po r. 1815. Owszem, przyjął i był nawet mianowany generałem jazdy. Nie dowiaduje się nic czytelnik o tem, że Dąbrowski ofiarował swe cenne zbiory „Towarzystwu przyjaciół nauk“ w Warszawie z tem zastrzeżeniem, aby było wolno każdemu rodakowi te zbiory oglądać. Nie ma też wzmianki o dzieciach Dąbrowskiego, a mianowicie o czcigodnej pani Mańkowskiej, która podała w swych „Pamiętnikach“ niejeden ciekawy i charakterystyczny szczegół o twórcy legionów.

Zdaniem autora liczył naród polski w 1812 r. 20 milionów głów. Podawanie takich błędnych wiadomości mianowicie w pismach ludowych jest bardzo szkodliwem. Obecnie naród polski liczy 12 milionów dusz, a w r. 1812 było ich najwięcej 6 do 7 milionów.

Radzimy wreszcie wydawnictwu, aby unikało w książeczkach wszelkich drażliwości politycznych. Twierdzenie na 37 str. broszury o Dąbrowskim, że pewne państwo powstało „rozbojem i zdradą“, może wywołać zakaz sprzedawania dziełka poza obrębem Galicyi.

Życzymy z całego serca, aby przyszłe książeczki „Towarzystwa imienia Stanisława Staszica“ były pod każdym względem poprawnie opracowane, a tym sposobem przynosząc prawdziwą korzyść czytelnikom, osięgły cel swój podniosły.

J. Ch.

Promyki.

Wszystko znieść i przecierpieć można, kiedy przy boku naszym stoi kochająca i ukochana istota — rozpacz ogarnia tych, co cierpią opuszczeni, samotni.

E. Werner.

Nigdy ręka nie jest potężną w sprawach, w których serce nie bierze udziału.

Sądy o bliźnich są najlepszą miarą sądzącego. — Ludzi można ocenić według ich własnych sądów.

Ile człowiek użył, tyle stracił, bo tyle już naprzód wybrał swojej zapłaty; ile wycierpiał, tyle zyskał, bo tyle ma jeszcze nagrody, zapisanej w księdze żywota!

Deotyma.

Dopiero w nieszczęściu dowiaduje się człowiek, ile może kochać i być kochanym. A wielka miłość — to klejnot nie z tej ziemi, taki przedziwny, taki nieoszacowany, że choćby kto wiekami cierpienia go kupił, jeszcze go nie kupił za drogo.

Deotyma.

HUMORYSTYCZNE.

Żałosna skarga.

Ach! jakież na wsi nudne jest życie!
Nieraz też sobie zapłaczę skrycie,
Bo mąż mój prawie całemi dniami
Handluje konie, woły, z żydami;
A czy to w poście, czy w karnawale
Folwarki zawsze objeżdża stale,
Siedzi w podwórzu, albo w owczarni,
Z kąta w kąt chodzi; to do mleczarni
Zajrzy też czasem, a mnie się zdaje,
Gdzie tylko wejrzy, że kogoś łaje.
Mając zaś chwilę wolnego czasu,
Wnet tajemniczo i bez hałasu
Każe zaprzągać — i dalej w nogi
Jedzie na karty — w galop pół drogi.
I tak w sąsiedztwie, albo w Wysoce
Przepędza nieraz wieczory, noce.
Gdy w domu siedzi, to zły, znudzony,
Zawsze coś złego widzi u żony;
A kiedy proszę: — Jedźmy na bale!
Tego już nawet nie słucha wcale;
— Jedźmy z wizytą. — Taaak?... dziś nie mogę,
Odłóż na inny raz swoję drogę,
Bo dzisiaj strzyżka, siewy, kontrola!
I tak we wszystkiem zawsze zła wola.
Bywa — że z poczty przyjdą gazety,
Obiad ostyga zwykle — niestety! —
Bo zamiast siadać, literat czyta,
Mówiąc: — Zjem później i na tem kwita!
Przyjadą goście, co zresztą rzadko!
Zabawa nigdy nie idzie gładko,
Bo jak się bawić? co tu za szansa,
Gdy rodzaj męzki gra w preferansa,
Albo też w maczka, co ma być tanim;
Panowie zawsze głosują za nim,
Panie przez ten czas w salonie siedzą,
Jak się zabawić same, nie wiedzą.
Czasem, gdy która zagra, zaśpiewa,
To za plecami jej inna ziewa.
Tak tu nas bawi grono młodzieży,
Ach! kto nie widział, ten nie uwierzy!...
— Cóż więc mam robić?... zimą i latem
Czas równo spędzam, tęschniąc za światem.
A zimą ja, co tak lubię łyżwować,
Musiałam właśnie swe łyżwy schować;
Bo z kim mam jeździć?... pustka wokoło,
Śniegiem pokryte jest całe sioło,
Więc czytam książki nudne, zabawne,
Powieści modne, nowe i dawne,
„Kłosy,“ „Dom polski,“ „Dziennik“ i „Gońca“
I jak ptaszyna wzdycham do słońca;
I tak mi tęschno... już nie wiem sama...
Pewnie za młodu psuła mnie mama!...

M. R. B. P.

ŁAMIGŁÓWKA

ułożyła Marya Czapska.

ZGŁOSKI: an, ar, dy, ez, go, in, ka, łu, na, ni, niec, pach, rew, sem, sko, su, ta, taj, to, wi, wiec.

Znaczenie wyrazów: 1. Przesmyk. — 2. Zabawa. — 3. Imie. — 4. Rzeka. — 5. Roślina. — 6. Miasto w Szwajcaryi, pamiętne bitwą w XIV wieku. — 7. Zwierzę, żyjące w Azyi i Afryce. — 8. Przedmiot, znany w starym testamencie. — 9. Słowo w trybie rozkazującym.

Początkowe głoski, czytane z góry na dół, i końcowe, czytane w przeciwnym kierunku, tworzą imie i nazwisko poety.

OD REDAKCYI.

Dzisiajszy numer jest ostatnim w bieżącym kwartale. Przypominając o tem, upraszamy zarazem Szanownych naszych Prenumeratorów, mianowicie zapisujących „Dom polski“ na poczcie, o łaskawe wczesne odnowienie przedpłaty, aby w przesełce pisma nie zaszła przerwa. Odbierających „Dom polski“ z redakcyi pod opaską prosimy uprzejmie o nadesłanie nam zaległej prenumeraty; wszystkim zaś Szan. Abonentom gorąco polecamy pismo nasze, prosząc usilnie, by je popierać i wśród swych znajomych nowych mu jednać raczyli zwolenników, aby ten jedyny na cały zabor pruski literacki organ polski nadal utrzymać i rozwijać się zdołał. Niezamożnym osobom i w ogóle wszystkim, którzyby nam w tym względzie życzenie swe wyrazili, jesteśmy gotowi — jakeśmy to już na tem miejscu niejednokrotnie zaznaczali — zniżyć prenumeratę aż do 1 marki kwartalnie.

Pierwszy cały rocznik „Domu polskiego,“ jako też dwa dotąd wyszłe kwartalniki z r. b. można nabyć w redakcyi za połowę ceny.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.